

BEATA FUDALEJ ✓ JESTEM POTWOREM

Jedna z najlepszych polskich aktorek. Gwiazda Teatru Starego w Krakowie i Teatru Narodowego w Warszawie. Zagrała m.in. w „Edith i Marlene” Marty Meszaros i „Wielkim tygodniu” Andrzeja Wajdy. Porywcza, dowcipna, błyskotliwa. Nosi militarne bluzy i portfel na łańcuchu, a złość wyładowuje na szczoteczce do zębów. Z Beatą Fudalej rozmawia Beata Nowicka

Spotykamy się w „Masce”, kawiarni przy Teatrze Starym, „stołówce” krakowskich aktorów. Przychodzi spóźniona, z preclm w zębach. „Obiad” – uśmiecha się rozbrajająco. Ubrana na cebulę: pierwsza bluza, druga, polar, ukochana kurtka Armii Ochrony Izraela, szerokie spodnie... Mnóstwo kieszeni. W nich pęki kluczy, stare notatki, jeszcze starsze bilety, okulary, zapalniczki, długopisy, telefon komórkowy, walkman, kasety, papierosy (trzy paczki), gaz do samoobrony (nieużywany)... Rzeczy mniej ważne chowa w ogromnej torbie. „Odkąd Beatę pamiętam, zawsze chodzi w tym swoim mundurku – śmieje się Jan Krzyżanowski, aktor. – Kiedyś z Ryskiem Łukowskim obserwowałem ją w garderobie. W końcu mówię: powiedz mi, co ona w tych kieszeniach ma? Na co Rysiek ze stoickim spokojem: »Kupę wdzięku«. Miał rację”.

Jedna z anegdot – a o Beacie Fudalej krąży ich wiele – głosi, że kiedy Andrzej Wajda po raz pierwszy ją zobaczył, powiedział: „Ta pani może ewentualnie u mnie zagrać pomocnika hydraulika”. Jeśli to prawda, to szybko zmienił zdanie. Zobaczył Fudalej w „Oleannie”, sztuce Davida Mameta i zaproponował rolę Ireny Lilien w „Wielkim tygodniu”.

Wie, że bywa nieznosna, łatwo wpada w złość. Sama o sobie mówi, że jest potworem. Jacek Romanowski, aktor Teatru Starego, adiunkt w krakowskiej PWST: „Myślałem, że podczas prób do »Oleanny« ją zamorduję. Fuda przez cały czas tokowała: »No nie, tego się nie da zagrać, co ta kobieta bredzi, co za kretyn to napisał, to wszystko trzeba poprawić...» Wpadłem w furję, rzuciłem pod jej adresem niecenzuralną wiązankę i trzasnąłem drzwiami. Swoją rolę zagrała oczywiście

wspaniale”. Napisać, że Beata Fudalej o swoim życiu prywatnym rozmawia niechętnie – to nadużycie. Beata Fudalej o swoim życiu prywatnym nie rozmawia wcale. „Ona jest świadectwem na to, że w dzisiejszych czasach nie ma mężczyzn – mówi Jan Nowicki. – Taką kobietę nie jeden, ale stu książąt powinno wielbić, zasypać ogromną ilością kwiatów, miłości i... wszystkiego. Tyle, że po świecie chodzą teraz same pedały i udręczeni faceci, którzy robią tzw. karierę. Nie potrafią dostrzec tak wspaniałej, delikatnej istoty jak ona. Bo ona wymaga pewnego wysiłku – wysiłku serca i umysłu. A na to dzisiejszych mężczyzn nie stać. Oni dużo pracują, pieprzą byle jak, a o miłości kompletnie nie mają pojęcia”. „Gdy ją widzę, mam ochotę nakarmić, odebrać papierosa i kazać jej położyć się wcześniej spać” – mówi Dorota Segda, aktorka, przyjaciółka. „Fuda jest rewelacyjnym kompanem – opowiada Jacek Romanowski. – I świetnie jeździ na nartach. Kiedyś pojechaliśmy do Zakopanego. Przy pierwszym zjeździe z Goryczkowej Fuda zgubiła kijek. »O kijek poleciał – skomentowała. – Widocznie los tak chciał. Ty sobie pojeżdżaj, a ja na górze będę piwko piła«. Podjechałem do miejsca, gdzie zgubiła kijek i wyciągnąłem go z głębokiego żlebu. Dumny jak paw przyniosłem jej ten kijek. Fuda popatrzyła z niesmakiem: »Nawet się człowiekowi piwa nie pozwolisz napić«. Beata Fudalej prowadzi zajęcia z aktorstwa w prywatnej szkole Larte Studio. Jej studenci mówią, że jest ostra, wymagająca do bólu i niekonwencjonalna. Posłałam sprawdzić. Michał Kościuk wychodzi po zajęciach na papierosa. Jeszcze mu się ręce trzęsą. „Ona jest zabijasta” – mówi z miłością w głosie. To znaczy: wspaniała, niezwykła.

ELLE „Znakomite recenzje, reżyserzy chwalą, ale niewiele o Pani prywatnie wiadomo...”

BEATA FUDALEJ Kiedyś w Krakowie była jakaś zadyma, pełno policyjnych patroli. Jechałam moją rakieta, czyli małym fiatem. Na tylnym siedzeniu bałagan. Spieszy mi się bardzo, a tu ze trzy razy zatrzymuje mnie policja. Za czwartym byłam już ostro wkurzona. Otwieram okienko i warczę: słucham pana! „Kontrol rutynowa” – słyszę. Kontrola, kontrola, proszę pana – już nie wytrzymałam. Obrażony obejrzał rakieta z góry na dół i chciał mi wypisać mandat. „Pani się uczy czy pracuje?” – pyta. Już wtedy byłam aktorką, że ho, ho, więc mówię lekko urażona: pracuję. „Gdzie?” W teatrze. I wtedy gęba mu się promiennie rozświetliła: „W teatrze?! To aktorów pani co dzień spotyka. Ale fajnie, co?”.

ELLE „Jakie cechy przeszkadzają Pani w pracy?”

B.F. Czasem po prostu nie potrafię się przełamać. Dlatego pewne momenty ról odkładam sobie na później. Jako dyplom robiłam w PWST „Braci Karamazow” (tamto przedstawienie nazywało się „Bracia”) z Krystianem Lupą. Grałam tam Lizę Chochłaków, na wózku inwalidzkim. Jest taki moment, kiedy Liza – mimo swoich chorych nóg – wstaje z tego wózka i rzuca się w ramiona Alioszy, krzycząc: „Ratuj!”. Strasznie się bałam tej sceny. Czułam, że jeżeli to nie będzie prawdziwe, że jeśli ja to tylko „zagram”, będę się musiała powiesić. I mówię do Krystiana Lupy: panie profesorze, ja tylko – o, tak – przejdę, a zagram ten moment, kiedy wreszcie to poczuje. Zgodził się. Przełamalam się dopiero na trzeciej generalnej. Nagle poczułam, że mam chore nogi zupełnie tak jak Liza. Zrobiłam jeden krok i myślę: Boże, jak ja to poczułam genialnie. Dlaczego ja wcześniej →

ZDJĘCIE M. TYSZKA, BEATA FUDALEJ UBRANA JEST W T-SHIRT (MANGO) I KOSZULĘ (MMC).



**JAN NOWICKI, AKTOR:
„BEATA FUDALEJ
CZYLI... PYCHA,
NIESKROMNOŚĆ.
ZBYT WYSOKIE
MNIEMANIE O SOBIE
I SZTUCE. A WSZYSTKO
PO SZYJĘ ZANURZONE
W SOSIE SKROMNOŚCI”.**



nie wstawałam? I kiedy tak pomyślałam, wszystko spaliłam, do mojej gry wkradło się tanie aktorstwo. Dostałam szału. Byłam ubrana w białą sukienkę i białe pantofle, a zachowywałam się jak bokser z przedmieścia: odwróciłam się i skopałam wózek inwalidzki (śmiech). Do dziś przy złej pogodzie bolą mnie palce u stóp. Lupa nic nie powiedział. Nic i to był dla mnie straszny ból. Musiałam się po czymś takim przełamać. I jak to zwykle bywa, był to potem mój ukochany moment w sztuce.

ELLE Podobno ubliża Pani szczoteczke do zębów?

B.F. To było dawniej. Teraz mam inne sposoby, np. przed premierą „Burzy” w reżyserii Rudolfa Ziolo ze zdenerwowania bez przerwy zgrzytałam zębami. Na próbach wpadałam w furję... Ziolo nie wytrzymał. „Dajcie mi pilota do Fudy, to ją wreszcie wyłączę” – krzyczał. Wiedziałam, że muszę coś z tym zrobić. I zaczęłam wyładowywać się w domu na piecyku gazowym. A jak nie wystarczało, chodziłam po domu i krzyczałam, że przedstawienie jest amatorskie, że sztuka jest amatorska, że Szekspir jest amatorem. Że zgubiłam klucze do domu i nie mogę pójść na próbę. A po tym mogłam już spokojnie iść do teatru.

ELLE Zawsze była Pani taka bojowa?

B.F. Jako dziecko byłam potwornie płaczliwa. Miałam jeszcze wtedy wielkie oczy, na których zawsze wisiały łzy (śmiech). Moja mama chodziła nawet do szkoły i prosiła, żeby nauczyciele na mnie nie podnosili głosu, bo od razu szlochałam. Rodzice musieli mnie zabierać z kolonii, bo tam też nie wytrzymałam. Poza tym byłam potwornie zakompleksiona, wszystkiego się wstydyłam. No, a teraz bardziej nad sobą pracuję.

ELLE Jak Pani reaguje na złe recenzje?

B.F. To zawsze boli. Choć na szczęście nikt się nigdy specjalnie nade mną nie znęcał. Kiedyś grałam z Wojciechem Malajkatem w Teatrze Telewizji. To był „Opis poranka” Idy Fink dla „Dwójki”. Po emisji rozdzwoniły się telefony z gratulacjami. Mam w domu dwie linie stacjonarne, komórkę, a mimo to przez parę godzin nie można było się do mnie dozwonić. Wszyscy chcieli mi powiedzieć, że pięknie, że fantastycznie, tralala... Kiedy następnego dnia przechodziłam przez Rynek, dobiegł do mnie Jerzy Turowicz i zapytał: „Proszę pani, jak to się skończyło, bo mieliśmy telefon i nie widzieliśmy ostatniej minuty?”. Kilka dni później siedzę w bufecie w teatrze. Przechodzi jedna z koleżanek. „Nie zauważa” mnie, po czym nagle się odwraca, rozpromienia i mówi rozanielona: „Słuchaj!!!

Widziałam wczoraj twój spektakl. Niedoooooobry”.

ELLE Stres przeszkadza?

B.F. Głównie przed premierą. Zanim wyjdę na scenę, myślę sobie: nienawidzę tego zawodu. Muszę z tym skończyć. Ale kiedy zaczynam grać, jestem szczęśliwa. W teatrze przed wyjściem na scenę dostaję kopa w tyłek na szczęście. Jak boli tyłek, przestaje się myśleć o tym, że boli dusza. Dlatego zawsze proszę o mocne kopniaki. Tak było na premierze „Miarki za miarkę”. Na scenę wchodziłam dopiero po pół godzinie i za kulisami nikogo już od kopania nie było. Stałam w peruce i sukni z trenem i myślałam: Boże umieram. Ale zauważyłam, że za mną stoi maszynista, więc mówię do niego błagalnym tonem: niech pan mnie kopnie w dupę. On na to: „Ależ pani Beatko, co też pani mówi?!”. Wrzasnęłam: zaraz wchodzę. Kop pan do jasnej cholery i to na odlew. Kopnął i to tak, że niemal wrzucił mnie na scenę. Bardzo to potem przeżywałam (śmiech).

ELLE Gdy po raz pięćdziesiąty trzeba zagrać tę samą rolę, nie jest nudno?

B.F. Gdy wchodzę na scenę, daję z siebie wszystko, w końcu aktor jest wart tylko tyle, ile jego ostatnia rola. Za to gdy przed występem siedzę w bufecie, nudzę się jak mops i gotowa jestem oddać wszystkie pieniądze, żeby nie wychodzić na scenę. Bo jak mówią: gdzie jest miejsce aktora? W bufecie! No, ale nie zajmuję się tzw. aktorstwem bufetowym...

ELLE Co to jest aktorstwo bufetowe?

B.F. Polega to na tym, że się coś „pogrywa” w bufecie, żeby cię zauważono. Ale zazwyczaj tego aktorstwa jest tyle, że na scenę już nie starcza (śmiech). Na szczęście gram w doświadczeniach i tego nie widuję. Uważam, że poza sceną aktor powinien mieć normalne życie. Przecież jak przyjdę do domu, to co – mam grać Marię Stuart? Ludzie! Przecież trzeba zrobić kotlety mielone, umyć podłogę...

ELLE Robi Pani mielone? Myję podłogę?

B.F. Mielonych nie robię, bo wolę jeść precle. A co do sprzątanía, kiedy mam w domu stan demolki i zapadam w depresję, że żyję w slamsach, zazwyczaj po trzech dniach doprowadzam wszystko do ładu. Przez dzień, dwa chodzę na szmatkach, żeby niczego nie pobrudzić. Po jakimś czasie znowu to samo, czyli slamsy. Moja koleżanka odebrała kiedyś telefon, że było włamanie i ma zdemolowane mieszkanie. Przyjeżdża, patrzy i mówi: „To jest stan normalny”. U mnie podobnie (śmiech).

ELLE Co Pani sprawia przyjemność?

B.F. Brydż. Nie gram zbyt dobrze, raczej jak u cioci na imieninach. Ale brydż jest pretek-

stem do tego, żeby się spotkać, poopowiadać dowcipy, napić się winka. Uwielbiam grać z Dorotą Segdą, jej mężem Stasiem Radwanem, z Jackiem Romanowskim. Uprawiam sporty: narty, jazdę konną, a ze szczególnym entuzjazmem siedzenie na kanapie i żonglowanie pilotami. Lubię chodzić do kina, to mi sprawia dużą przyjemność. Nie mam hobby, które byłoby dla mnie szalenie ważne. Wystarczy mi mój zawód.

ELLE Jest Pani przesądna?

B.F. Tak. Nie gwizdę na scenie ani na niej nie jem. Kiedy wychodzę i muszę po coś wrócić, zawsze przysiadam na drabinie w przedpokoju, bo iść aż do pokoju, to już mi się nie chce. Jeżeli coś mi spadnie, np. tekst scenariusza, przydeptuję. Parę razy spadły mi okulary, więc je też przydeptałam.

ELLE „Sportowy”

styl nie sprawił nigdy, że reżyser obawiał się Pani występu np. w roli damy?

B.F. Przed próbami do „Mishimy”

Andrzej Wajda powiedział: „Pani się

ubiera jak gazeciarz. Kiedy wreszcie Pani przyjdzie w złotych butach?”.

Ta uwaga nie zrobiła na mnie większego wrażenia. Miałam zagrać japońską

femme fatale: rzęsy, szpilki, peruki, dekolty, ale na

próby przychodziłam w spodniach, wyciągniętych swetrach

i wykrzywionych adidasach. Tak mi było wygodnie.

ELLE I jak Wajda to znosił?

B.F. Średnio. Ale na mieście mówił na mój temat bardzo ciepłe rzeczy – donosili mi o tym

znajomi. Pewnego dnia mierzyłam kostium przy Krystynie Zachwatowicz. I potem na

próbie Wajda powiedział: „Krysia widziała dzisiaj panią i powiedziała, że nie będzie źle. A ja jej ufam”.

Włożyłam w końcu ten kostium i buty na pierwszej generalnej. I jeden z moich kolegów aż krzyknął: „Boże, to

Fuda?! Nie wierzę!”. Na co Janek Peszek odpowiedział: „Stary, to tylko aktorstwo”.

I miał rację (śmiech). □

„GRAŁAM LIŚ. NA PRÓBIE DOSTAŁAM SZAŁU, SKOPAŁAM WÓZEK INWALIDZKI. DO DZIŚ PRZY ZŁEJ POGODZIE BOLĄ MNIE PALCE U STÓP”.